


Ziemia Trzech Słońc

Dedykuję mojej żonie Dáši

Stał na pniaku po stuletniej jodle i spoglądał w dolinę, gdzie snuły się potargane strzępy mgły. Na twarz spadła mu ogromna kropla. Mokry śnieg łączył się w powietrzu w wodne kule, by napoić spragnioną ziemię. W dole, poniżej mężczyzny stało wielkie, żółte monstrum, nedorzeczny twór socjalistycznego przemysłu maszynowego. Dumny pozyskiwacz masy drzewnej - LKT 80. Dolina, w której zaległa teraz ta chluba słowackiego leśnictwa, wyglądała przed trzydziestoma laty zupełnie inaczej. Jodłowo-bukowy pralas z sześciusetletnimi jodłami, mchem po kolana, mokradłami pełnymi wodnych istot, a na końcu doliny, między korzeniami starej jodły, był wygrzebany wilczy barłóg. Nawet gdy w dolinie dwa dni padał deszcz, woda w potoku ledwo się podnosiła, jednak w najgorętsze dni zawsze dawała przyjemny, wilgotny chłód.

I wtedy stało się. Leśna bitwa pod Kurskiem. Największe nagromadzenie leśnej techniki bojowej w historii tej krainy. Piły nie dawały rady niektórym wielkim jodłom, więc użyto materiału wybuchowego Danubit.  Pijani pilarze rznęli jodły, które pamiętały odkrycie Ameryki, a miejscowi szoferzy z radością wywozili olbrzymie pnie do Austrii.

Dolina z wolna wysychała, a wezbrania wód po deszczach były coraz intensywniejsze. Zmieniająca się dolina zmieniała też mężczyznę. Powoli, ale zdecydowanie. Aż odmieniła go zupełnie. "No i co chłopcy, co zrobicie?" - powiedział cicho do siebie, spoglądając na trzy podpite postacie miotające się wokół nieruchomej maszyny. "Do diabła, nie działa, coś się schrzaniło" - naznaczony alkoholem głos rozchodził się po całej dolince. "Idziemy, nic z tego nie będzie", zakomenderował drugi, wyraźnie przewodzący ekipie. Robotnicy zarzucili żółte Husqarny na plecy i powoli schodzili w dół leśną drogą, przez błoto i śnieg.

"Nareszcie".

Człowiek stojący na dawnej jodle najwyraźniej czekał w spokoju aż Husqarny przeistoczą się w odległe, czarne punkciki i zeskoczył na ziemię. Zarzucił worek na grzbiet i szybko rozplątał się we mgle po przeciwnej stronie doliny. Po godzinie marszu okolica zaczęła się zmieniać. Glebę krył teraz bogaty kobierzec bukowych liści, gdzieniegdzie gnęły pnie jodeł, małe łączki zakryły dywany mokrej, brunatnej trawy. Z ciemności dobiegło wycie wilka. Znalazł się w świątyni. Poszarpane kłęby mgły pływały powoli wśród ogromnych jodeł i buków, rozmazując ostre promienie słońca, które zdążyły jeszcze tuż przed zachodem rozpiąć wśród drzew pięciolinie dla ulotnych pieśni drobnych sikorek.

Ta świątynia utrzymywała jego, poganina, przy życiu. Cud tego misterium pozwalał mu widzieć przyszłe lasy tam, gdzie inni widzieli już jedynie pożogę pozostawioną przez maszyny. Takie zanurzenie się w pralas poprzetykany słonecznymi szpilkami na drodze przez bagno nazywał już długie lata "ścieżką do Krainy Trzech Słońc".

"To dobre miejsce" - pomyślał, odgarnął nogami mokry śnieg, rzucił na wilgotne liście karimatę i rozwinął śpiwór pod wielką jodłą, która wyrosła tu w silnej komunii z bukiem. Takie symbole pierwotnych wschodniosłowiańskich naturalnych lasów jodłowo-bukowych umiłował. Na chwilę wszedł do śpiwora, trochę się zagrzać i przeschnąć. "Ale wielką zmianę przyniosło nam Zimowe Przesilenie". Nie miał na myśli temperatury. Nawet kiedy grudzień był stosunkowo ciepły, nie było to przecież niczym wyjątkowym. Informacje o globalnym ociepleniu przy obecnych przedświątecznych temperaturach powyżej zera nieźle go bawiły. Myślał o przebiegu rytuałów zimowego przesilenia.

Przez ostatnie dziesięć lat stał się czymś w rodzaju adwokata jodeł, buków, bakterii, sikorek, kun i wilków.

Ludzie, gdy pozostają bez pracy, otrzymują wsparcie w postaci zasiłku, mają odpowiednie adwokackie kancelarie dla swoich mniej lub bardziej małoszkowych sporów, zrzeszenia, kluby sportowe i koła łowieckie, Internet, telekomunikację, przychodnie lekarskie i psychiatrów, instytucje charytatywne i społeczne. I zawsze gdy martwią się o środowisko naturalne, mają na względzie wyłącznie środowisko **człowieka**.

Ale żaby, jodły, wilki, dzieciocy buki i korniki są codziennie zagrożone. Tym zagrożeniem nie są dla siebie nawzajem - to jedynie naturalny kołowrót życia - lecz zagraża im człowiek.

Codziennie piły bezmyślnie wgrzają się w ich ciała, codziennie strzelby czynią zamachy na ich potomstwo, codziennie rozpylane są toksyny zabijające miliony żywych organizmów, które zawiniły jedynie swym istnieniem.

Te istoty potrzebują jednak własnych kancelarii prawniczych, które by reprezentowały ich sprawy w społeczności ludzi. Potrzebują swoich psychiatrów, instytucji charytatywnych i służb bezpieczeństwa. "Aby przeżyć to wszystko w jako takim zdrowiu psychicznym, muszę stale chodzić między nich, muszę między nimi spać, muszę czerpać od nich siłę, a wtedy mogę pójść w masce człowieka znów do ludzkiej społeczności" - często mawiał do nie pojmujących tego przyjaciół.

Na jego dobre zdrowie psychiczne składały się długie lata świąt przesilen i równonocny. Kiedyś celebrował je głównie dla siebie. "Człowiek musi przede wszystkim sam być silny, aby mógł walczyć za inne istoty" - myślał. Później stwierdził, że z taką filozofią życia można swobodnie przeżyć cały swój żywot. Jednak w czasie, gdy się tak "umacniasz", padają tysiące drzew dziennie, bezsensownie giną tysiące wszelkich stworzeń. Każdego dnia.

I tak odmienił obchody naturalnych świąt. Zimowe Przesilenie miało wśród nich szczególną pozycję. Najbardziej go radowało. Fascynowało go to, że na początku zimy, gdy czas biedy i ograniczeń dopiero się zaczynał, ludzie w minionych wiekach potrafili cieszyć się z pierwszych kroków powracającego słońca. "Właśnie ta umiejętność dostrzeżenia poprzez problemy i niebezpieczeństwa długiej zimy światła wiosennych dni, właśnie ta zdolność powitania słońca w jego pierwszych powrotnych krokach, dodawały ludziom siłę, pozwalały przetrzymać najtrudniejsze chwile" - mawiał. A i on sam takim sposobem wzmacniał swe siły.

"Niech na to mówią zawziętość, albo gorliwość czy przezorność, jednak nie możemy zapominać, że zawsze potrzebne jest spoglądanie daleko naprzód" - powtórzył sobie moralizatorsko, gdy wyczołgiwał się ze śpiwora i nakładał buty. Wokół zaległa już zupełna ciemność. Latarka nie nadawała się do użycia, jej światło wracało odbite i rozproszone przez mgłę i bardziej przeszkadzało niż ułatwiała marsz. Mężczyzna jednak nie potrzebował światła. Drogę znał na pamięć. Przeszedł przez mały grzbiet na północny stok i zaczął schodzić w dół po marznącym śniegu. Po chwili w świetle księżyca ukazał się żółty potwór. "Trzeci tego weekendu" - wyszeptał cicho do siebie, jednak ze zbyteczną ostrożnością, bo przy tej pogodzie i o tej porze w okolicy nie było nikogo. Ostrożnie odkręcił pomarańczową pokrywę filtra paliwa obrzydliwej, żółtej, żelaznej salamandry i wsypał do otworu kilogram kryształowego cukru z ostatniej kampanii buraczanej. Potem dodał drobnego proszku i zakręcił filtr.

"Ważne jest poznanie tego, co nas czeka w przyszłości, jak poznawali to prości ludzie dawno przed nami. I nie bać się we właściwym czasie uczcić przesilenie, nawet gdy wokół jeszcze ciemna, pochmurna, zimna noc" - zaśmiał się i zaczął powoli wracać. Gdy spał pod starą jodłą, a nieopodal odezwał się puszczyk uralski śnił, że stoi na wielkim skalnym nawisie, pod którym rozpościera się aż po horyzont nieskończone morze jodeł i buków, nie przerywane żadnymi drogami, trakcjami elektrycznymi ani budowami, tworząc scenerię zachodowi słońca.

W Ziemi Trzech Słońc zaczęło się Zimowe Przesilenie.

Autor podkreśla, że historia jest zmyślona, a wszelkie podobieństwa do osób żywych lub umarłych są absolutnie przypadkowe.

Juraj Lukáč
tłum. Janusz Rubisz